Prof. dr hab.
Wojciech Kaute

Bielsko-Biała 13 11 2025

Recenzja pracy doktorskiej mgr Dagmary Anny Śniowskiej
„Polityczność natury ludzkiej w kontekście sporu *nature versus nurture* w antropologii Witolda Gombrowicza"

Witold Gombrowicz w utrwalonym od zawsze – i, na pierwszy rzut oka, uzasadnionym – przekonaniu uchodzi za pisarza, reprezentanta literatury, sztuki; za takiego kogoś bez reszty. Jest to prawda; i jednocześnie nie jest to prawda. I jak się okaże, z taką dialektyką będziemy mieli do czynienia w każdej sytuacji, kiedy podejmujemy refleksję nad jego dziełem, jego – śmiało tak to można ująć (w kontekście tego, co w ostatnim stuleciu na świecie wyprawiało się; i dziś się wyprawia) – epokowymi odkryciami.

A więc na jakim poziomie myślenia tu operujemy? „Moją intencją jest [...] – pisze autorka we wstępie rozprawy - odczytanie [...] dzieł [Gombrowicza] przez pryzmat filozofii politycznej. Uważam też, że intencją analizowanych przeze mnie tekstów jest nakreślenie pewnych prawidłowości rządzących życiem społecznym – a te zaś wolno i warto przekładać na grunt nauk o polityce. I takie jest też zasadnicze założenie mojej pracy. Zaryzykuję nawet stwierdzeniem, że twórczość Gombrowicza można z powodzeniem odczytywać jako swoisty *retelling* poszczególnych koncepcji z zakresu myśli politycznej. Pisarz bowiem, nonszalancko i wybiórczo chwytając za kluczowe filozoficzne idee i dekonstruując je, tworzy z nich *Easter eggi* we własnej literackiej fikcji. Jest to – co [...] wielokrotnie będę podkreślać – nad wyraz twórcza polemika z autorytetami, która efektywnie odświeża i aktualizuje refleksję nad egzystencją jednostki we wspólnocie. Najprościej rzecz ujmując: Gombrowicz opowiada filozofię (również – jeśli nie zwłaszcza – polityczną) na nowo" (s. 5 rozprawy). A zatem pojawia się tu szereg kategorii – funkcjonujących, jak się okaże, niejako „obok" siebie; jako jednocześnie równie fundamentalne. Są to: filozofia, filozofia polityczna, nauka o polityce, literacka fikcja, myśl polityczna... no i wspomniane „jajko"- świat metafor i zaskakujących asocjacji. „Moje kompetencje - pisze autorka w innej części tekstu – kończą się na refleksji z zakresu historii myśli politycznej oraz na naukowej analizie tekstu literackiego" (s. 63, przyp. 215). W koncepcie Gombrowicza – jak w myśli każdego giganta wyobraźni – wszystko ze wszystkim się łączy. Refleksja zatem nad taką materią jest niezwykle wymagająca; skala trudności jest tu wysoka... I autorka świetnie daje sobie radę. Jej „kompetencje" - choć, jak wszystko w życiu, zawsze się na czymś „kończą" - zasługują na najwyższą ocenę.

A zatem, o czym tu mowa? A oto odpowiedź: idzie o naturę człowieka, o relację: jednostka wobec jednostki; o kulturę i cywilizację, rozumiane jako coś, co istnieje, ma swoją tradycję i przyszłość. I jest to **jednocześnie** pytanie o nas; o Polskę; jej historię, jej teraźniejszość i perspektywy. Wygląda to na ogół truizmów. To jednak tylko pozór. Jeżeli bowiem wejdzie się głęboko (co wymaga ogromnego wysiłku i intelektualnego reżimu) w teksty Gombrowicza, jego dramaty, krótkie utwory oraz – co szczególnie ułatwia odczytanie jego intencji, gdyż sam o nich tam mówi, w jego *Dziennik* - to – w **osłupieniu** – stajemy NA KRAWĘDZI... Jego dzieło, jak to ujmuje autorka, „ukazuje dramatyzm ludzkiej egzystencji" (s. 4). Jeżeli się to rozumie, to trudno to wytrzymać. Lepiej może tego **nie wiedzieć; i nie widzieć**...

Gdzie tkwi istota tego „dramatyzmu"? Tkwi ona - odpowiada autorka - w refleksji nad następującą kwestią: „Czy człowiek jest z natury polityczny, czy może wręcz przeciwnie?" (s. 77). I tu w kulturze europejskiej ukształtowało się wiele stanowisk, które – przy pewnym, rzecz jasna, - uproszczeniu - da się ująć jako, jak czytamy w pracy, „dwa możliwie silnie kolidujące ze sobą poglądy" (tamże). Jest to – z jednej strony - Arystotelesowska koncepcja *zoon politikon*; z drugiej - „przeświadczenie Thomasa Hobbesa o egoistycznej, aspołecznej naturze człowieka" (tamże). „Państwo należy to tworów natury – czytamy w *Polityce* Arystotelesa - [...[taki zaś, który z natury, a nie przez przypadek żyje poza państwem, jest albo nędznikiem, albo nadludzką istotą, jak ten, którego piętnuje Homer, jako człowieka bez rodu, bez [własnego] ogniska. Kto bowiem z natury jest taki, równocześnie i wojny namiętnie pożąda, będąc odosobniony, jak ten kamień wyłączony w grze w kości" [I, 9]. U progu nowożytności pojawi inny paradygmat. Jest to kartezjańskie *cogito*; [*Ja*] *myślę więc jestem.* CZŁOWIEK – w każdym miejscu i czasie – to JEDNOSTKA. I ta – wydawać by się mogło, niewinna w swej oczywistości teza - stanowić będzie punkt wyjścia „ducha" nowożytności. I to jest koncept Hobbesa. Celem tekstu, jak pisze autorka, „**zdecydowanie nie jest** szczegółowe omówienie myśli politycznej Hobbesa czy Arystotelesa. Zależy mi raczej na zarysowaniu kluczowych punktów w dyskusji, która mimo upływu lat, w zaktualizowanej formie wciąż jest żywa w nauce" (s. 77, przyp. 259). Tak, jednostka czasów nowożytnych jest „ODOSOBNIONA"... „Hobbes – czytamy w pracy – mimo że nie bywa przez Gombrowicza przywoływany wprost, szczególnie dobrze wkomponowuje się w analizę okołofilozoficznych rozważań pisarza ze względu na silne powiązania z kartezjanizmem" (tamże, przyp. 258). *Cogito*, JA, jest tu kluczowe; dla nas wszystkich jest kluczowe...

Tak w przeszłości, jak i obecnie, „trudno o spór jeszcze bardziej dla politologów oczywisty" – uzupełnia autorka (s. 77).

I tak do „gry" wchodzi Gombrowicz. W jego koncepcie, czytamy w pracy, „świat składa się z miliardów Ja, przeświadczonych o swej podmiotowości i traktujących wszystko wokół jak przedmioty, których kształty i właściwości można dostosować do własnych wymagań. Problem polega na tym, że żyjąc w społeczeństwie i wspólnocie politycznej skazani jesteśmy na dzielenie przestrzeni z innymi Ja i również na nie projektujemy swoje wyobrażenia. Każdy z nas zatem – w swej świadomości – buduje własny świat, a to musi być sprzężone z krzywdą innego, uprzedmiotowionego brutalnie Ja. Gombrowiczowski kartezjanizm podszyty jest zatem niewyobrażalną przemocą. [...] „WYELIMINOWAĆ PRZEDMIOT – oto wielka idea Kartezjusza"" [s. 51] - cytuje tu autorka Gombrowiczowski *Kurs filozofii w sześć godzin i kwadrans*. Zadajmy tu zatem pytanie o to, co to właściwie oznacza słowo: „wyeliminować"... Kiedy się bowiem tego nie ustali, życie okaże się „snem wariata śnionym nieprzytomnie", co jest równoznaczne z kapitulacją wobec bezmiaru otaczającego nas przez pokolenia ***zła***. Tym czymś, co od zawsze wytyczało szlak refleksji istoty ludzkiej nad nią samą, było i jest pojęcie NATURY. Co to takiego? „Zauważmy – pisze autorka analizując Gombrowiczowskiego *Szczura* – [iż tam] dobrze widoczny jest problem przemieszania różnych znaczeń pojęcia natury. Punktem wyjścia niech będzie banał: naturę można postrzegać jako synonim przyrody albo też jako istotę kogoś lub czegoś (albo [...] pewien zespół przypadłości, które mogą się ujawnić pod wpływem czynników środowiskowych). Jest też trzecia natura, pisana wielką literą i sądzę, że można ją utożsamiać z czymś, co jedni nazwać mogą bogami właściwymi różnym systemom religijnym, inni z Wszechświatem pojmowanym dość ezoterycznie, czy też z bliżej nieokreśloną zasadą (logiką?), która miałaby sterować życiem na ziemi. W uniwersum Gombrowicza Natura to coś nieuchwytnego, co porządkuje naszą egzystencję i w jakiś sposób determinuje pomniejsze ludzkie natury. Nie wykluczałabym też opcji, że Natura jest całkowicie ludzką ideą, pozwalającą zminimalizować dyskomfort związany z ograniczoną wiedzą o świecie i trudnościami z wyjaśnieniem niektórych jego mechanik" (s. 68). Gombrowicz jednak jest w swej dociekliwości bezlitosny. Już się wydawało, że mamy punkt oparcia, że już **coś pewnego jest**; a tu się okazuje, że **nie ma**. Zacytujmy za autorką *Szczura*: „Przeklęty niech będzie szczur i panicz i dom i natura zbója i natura sędziego i natura szczura, o, przeklęte niech będą natury i przeklęta niech będzie Natura" (s. 71). No, cóż! **Natura**. „Czeski film – nic nie wiadomo..." Jest tu bowiem tak, iż jeżeli twierdzi się, że w „punkcie wyjścia" jest jednostka, to przy bardzo „silnym" rozumieniu słowa: „jest", oznacza tyle, iż jest to świat „zamknięty"; tutaj nigdzie się nie „idzie"... **jest**, to **jest**... Jak zatem znaleźć tę **naturę**... I tu właśnie – jeżeli dobrze odczytuję intencje autorki - w tym tautologicznym, Gombrowiczowskim świecie odsłania się szerokie pole dla **politologii**...

Co się zatem wyczynia w tym naszym świecie? „Postrachem całej okolicy – ponownie zacytujmy *Szczura* – tak zasiedziałej i dostatniej był zbir, hulaka i zbójca, sławny pod nazwą Huligana. Urodził się w szczerym polu i na rozległej równinie – wychowywał się po lasach, górach, dolinach i rozłogach – nigdy nie sypiał w zamkniętym pomieszczeniu – i to mu dało specyficzną masywność i szerokość **natury** [podkr. autorki] – rozległość duszy – kolebiącą rozlewność usposobienia" (s. 57). „Była to **natura** [podkr. autorki] szeroka, nie uznająca żadnych ciasnych zakamarków i lubiąca popić, a szeroki gest był jedynym właściwym jego gestem. [...] Nienawidził wszystkiego, co ciasne, wąskie, drobnostkowe. [...] Ustępowano mu z drogi. A jeśli kto nie zdążył ustąpić, zbój Huligan walił go łapą w sam środek, albo unosił do góry i miażdżył – albo masakrował wprost – po czym odrzucał na stronę i szedł dalej. Ale nigdy nie dopuścił się żadnego skrytego i małostkowego mordu, wszystkie morderstwa jego były huczne, śmiałe, rozległe i rozgłośne, dokonane w wielkim pochodzie ze śpiewami: »Hej, Maryś moja, Maryś!«... Albo: »Oj dana! Oj Maryś!«... Bo kochał tę swoją Maryśkę nade wszystko w świecie, kochał hucznie, szumnie i szeroko, z tańcami, z prysiudami, z wódką" (tamże, s. 58). „Tak, **natura** [podkr. autorki] jego była najszersza, jak tylko być mogła. Nie rozumiał w ogóle ciszy – z zwłaszcza ściszenia - tego ściszenia, które, rzec można, jest główną złodziejską cechą ludzi naszych czasów - i nawet spał donośnie z otwartymi usty, chrapiąc i wypełniając doliny chrapaniem. Nie znosił kotów i gdy zobaczył kota pędził za nim dziesięć albo dwadzieścia kilometrów, kobiety zaś zwykł był łapać pełną garścią i wrzeszczał przy tym: »Psiachmać!« Albo pokrzykiwał: »Ech–hej, ho, hooo! Hooo! Hetta! Wio!« I tak właśnie łapał tę swoją Maryśkę jedyną!" (tamże, s. 59). „Dodajmy - zauważa autorka - że natura Huligana jest całkiem złożona, bowiem – oprócz nieustanej potrzeby wyładowywania agresji – głosu się domaga pewien (prymitywny, ale jednak) romantyzm. „Czasem jednak – kontynuuje autorka cytat z Gombrowicza - przywalała go tęsknota, i wówczas cała kraina wypełniała się jego szumnymi, rozlewnymi dumkami, lśniącymi ponuro melancholią, i słychać było o księżycu modlitewne, mołojeckie, kozacze, sobacze, [...], polne zawodzenie, kumkanie bandyty: »Hej, hej – śpiewał – hej, dola! Hej, Maryś! Maryśka!«. A psy zrozpaczone odzywały się po opłotkach, wyjąc głucho i ciemno. A to wycie zarażało w końcu i ludzi. I cała okolica wyła tęsknie, głucho i czarno, prosto w księżyc, który świetniał blado: »Hej, dola! Hej dola!" (tamże). I tak to „coraz więcej śpiewów mnożyło się i przelewało wokół zbója. Przechodził z wolna do legendy[...]. Coraz więcej było śpiewów, przewalania się i zabijania" (tamże). Tyle dzieł powstało na temat opresyjności państwa - tej ludzkiej „dżumy"," zniewalającej jednostkę - a tu prosty i przejrzysty opis... Czytając Gombrowicza, niejednokrotnie odnoszę wrażenie, że teksty dyktował mu *Duch święty.*

Powtórzmy zatem pytanie: co to się w tym naszym świecie wyprawia? Jednostka chce żyć; pracuje, konsumuje; funkcjonuje w zbiorowości. To skąd bierze się Huligan? Jak to się dzieje, że jego śpiew „zaraża"? I tu wracamy do sporu, o jakim była mowa; do wspomnianych dwóch „poglądów". Jest to - jak to określa Gombrowicz w *Filidorze dzieckiem podszytym* – z jednej strony świat „syntetyków", z drugiej – „analityków". „Księciem najchlubniej znanych wszystkimi czasy syntetyków był bez wątpienia dr prof. Syntetologii uniwersytetu w Leydzie, wyższy synteta Filidor – przywołuje powyższy tekst autorka. [...] Działał on w patetycznym duchu Wyższej Syntezy" (s. 78). „Lecz zjawisko duchowe tej miary nie mogło wywołać w **naturze** (podkr. autorki) swego kontr-zjawiska; swego: „anty". [...] Analityk rychło urodził się w Colombo i na uniwersytecie Columbia uzyskawszy doktorat tudzież profesurę Wyższej Analizy, szybko wspiął się na najwyższe szczeble kariery naukowej" (tamże). „Doktor i mistrz analizy rzekł – cytujemy dalej za autorką Gombrowicza – Kluski! Syntetolog odpowiedział: - Klusek! Anty-Filidor zaryczał: - Kluski, kluski, czyli kombinacja mąki, jak i wody! Filidor zaś odparował monumentalnie: - Klusek, czyli wyższa istota Kluska, sam najwyższy Klusek" (s. 81-82)). „Gdyby tak – jak pisze autorka - zignorować cały absurd przytoczonego dialogu, można zauważyć, że punkt wyjścia do dyskusji między bohaterami jest ten sam. Następnie jednak stanowiska uczonych drastycznie się rozmijają. Można pokusić się o sparafrazowanie w ten sposób dyskusji zwolenników koncepcji Hobbesa z entuzjastami myśli Arystotelesa: - Natura ludzka! Natura ludzka! – Natura polityczna, bo państwo jest dziełem natury! – Natura egoistyczna, bo państwo jest sztuczne!" (s. 82). **Natura, natura,** a w dalszym ciągu nie wiemy, skąd się bierze „przewalanie się i zabijanie"... A wiadomo że, jak pisze autorka, „Gombrowiczowskiej Natury powstrzymać się nie da" (s. 101). Jak zatem człowiek, jednostka funkcjonuje w świecie, w którym każdy gada o „naturze"? I tylko gada...

Strukturę tego świata Gombrowicz określa mianem „Kościoła międzyludzkiego". „Kościół międzyludzki", jak czytamy w pracy, „jest konstruktem spajającym wszystkie fabuły i akcje dzieł Gombrowicza – każdy z bohaterów tkwi w nim z większym lub mniejszym entuzjazmem. Ponadto, sam literat posługuje się tym pojęciem *expressis verbis*, objaśniając nie tylko zawiłości swoich utworów, ale też mechaniki, które – w jego odczuciu – sterują zupełnie rzeczywistym światem. Zrozumienie praw, wedle których działa „kościół międzyludzki", pozwala zatem na zrozumienie pomniejszych komórek funkcjonujących w jego obrębie, czyli na przykład szczególnie dla nas ważnej wspólnoty politycznej" (s. 105). Jakie są te prawa? „W uniwersum Gombrowicza – czytamy w pracy – „kościół ziemski" stanowi pewną kontrę do „kościoła boskiego", to [...] stan/miejsce/system/sytuacja (?), w którym/której jednostka w interakcji z drugą osobą podlega osobliwemu przekształceniu" (s.109). I tak to, „w

ziejącej po Bogu próżni pojawia się drugi człowiek – nowe bóstwo, któremu można oddawać hołd, którego też można się bać i który jest kreatorem oraz demiurgiem – czytamy w tekście. Co więcej, człowiek znajduje się tuż na wyciągnięcie ręki, nie jest żadną ideą, abstrakcją, czy bytem, którego istnienia dowieść nie sposób, lecz istotą całkowicie namacalną, brudną, śmieszną i nieraz pogardy godną, a zarazem posiadającą szczególną moc. Cały szkopuł tkwi w tym – komentuje ten stan rzeczy autorka – że aktualnie tych bożków chodzi po ziemi ponad osiem miliardów, a co więcej – istoty te tworzą grupy, społeczności i narody. [...] Potężna, nieograniczona moc każdego [...] [z tych bóstw] ulega bolesnemu ograniczeniu w kontakcie z **tym drugim**" (s. 114-115).

I tak to w myśli Gombrowicza pojawia się FORMA. „Forma" stanowi, jak to określa autorka, „przedłużenie" (s. 161) kategorii wspomnianego „kościoła". „Jednostka Gombrowiczowska czuje [...] naturalny pęd do formowania innych i bycia przez nich formowaną" (tamże). „Formę – pisze autorka – zdefiniowałabym najprościej jako pewną mroczną i niepohamowaną siłę kształtującą wszystkie relacje w „międzyludzkim kościele"" (s. 162). Forma, to forma; w świecie *cogito* wszystko jest w ludzkim „opakowaniu". U Gombrowicza, jak pisze autorka, „żyjemy spętani Formą, postępując wedle jej reguł i niekoniecznie musi nam się to podobać. Jednak poza Formą nie ma „międzyludzkiego kościoła", a poza „międzyludzkim" jest wyłącznie kosmiczna, druzgocąca jednostkę pustka. Forma nas krzywdzi, lecz zarazem ratuje przed niebytem. Nie możemy się jej wymknąć, a co najwyżej wymieniać poszczególne gęby, zależnie od własnej inwencji i otaczających nas ludzi" (tamże). A zatem, pisze autorka, „skoncentrujmy się [...] na sprawie zasadniczej: **wrodzonej sztuczności.** Brzmi to nieco jak oksymoron: jak coś, co jest wrodzone, może być sztuczne? [...] Gombrowiczowski wariant [...] [*cogito*] zakłada, że istnieje tylko Ja i dowolna ilość przedmiotów wygenerowanych przez umysł Ja. [...] Zderzając się z innym Ja [...] z automatu ulegamy uprzedmiotowieniu. [...] Czy to oznacza, że w momencie spotkania z innym przedstawicielem naszego gatunku, tracimy swoją autentyczność i nabieramy sztuczności?" (s. 157) „Wykluczone – odpowiada autorka na zadane sobie pytanie. Bez drugiego człowieka jesteśmy **żadni**, nasze wersje robocze właściwie nie istnieją, my dopiero możemy zostać stworzeni przez drugiego człowieka. Kiedy **się stajemy**, pierwszym naszym wcieleniem jest już **to sztuczne**" (tamże). Forma jednakże, jak podkreśla autorka, to „nie jest [...] prosty fałsz konwenansów. [...] Tu chodzi o nasze najgłębsze zakłamanie w postrzeganiu siebie samych jako autentycznych" (tamże). Kartezjańskie „wyeliminowanie przedmiotu" nie oznacza w dialektyce Gombrowicza „eliminacji" podmiotu, czyli samego Ja. To nie jest tak, iż w procesie, o jakim mowa, z każdego z Ja-Bogów zostaje tylko *vanity fair*... „SZTUCZNE" NIE OZNACZA: NIE-AUTENTYCZNE...

I tu pojawia się u Gombrowicza to, co – w jego najgłębszym przekonaniu - w istotny sposób wypełnia treść Formy. Jest to naród, kultura narodowa. Jak cytuje autorka *Dziennik*, **„ja, będąc Polakiem, tylko w narodzie moim mogę uzyskać człowieczeństwo** [podkr. autorki]. Czy pies może być zwierzęciem tylko? Nie, pies jest zwierzęciem, ale jako pies, konkretny pies, buldog lub wyżeł. A gęś? A koń? Nie odbieraj mi mojej konkretności, bo ona właśnie jest moim życiem". Oto pułapka zastawiona na nas w „międzyludzkim kościele"" – komentuje tę wypowiedź Gombrowicza autorka (s. 163). I tu, siłą rzeczy, i tak jest od pokoleń, pojawia się romantyzm. „Polski romantyzm na tle światowego stanowi pewną osobliwość – czytamy w pracy - bowiem – siłą rzeczy, biorąc pod uwagę historyczny kontekst - jest mocno zogniskowany na kwestiach narodowowyzwoleńczych. Podczas gdy Edgar Allan Poe tworzył niepokojące powieści grozy i przenosił amerykańskich czytelników choćby do upiornego domu Usherów, literatura polska szukała wyższego sensu we wszystkich zadanych nam ranach i niejako legitymizowała narodowe męczeństwo. Idee poświęcania się dla dobra wspólnego, oddawania życia w nierównej walce, doszukiwania się cząstek dobra w bezmiarze historycznego zła, czy dopatrywania się mistycyzmu w brutalnej polityce, odcisnęły wyraźne piętno na polskiej kulturze. Gombrowicz – bardzo delikatnie rzecz ujmując – nie należał do entuzjastów takiego toku rozumowania" (s. 184-185). Jest to „forma" tandetna; „bylejakość" (s. 163). Jest to właściwie zrozumiałe. „Skoro – kontynuuje swoją osobistą refleksję nad konceptem Gombrowicza autorka – bez drugiego człowieka jestem właściwie nikim, to cóż złego w tym, że stykając się z grupą ludzi zwanych Polakami, budzi się we mnie poczucie wspólnoty, przynależności, a nawet oddanie temu osobliwemu konstruktowi, jakim jest polskość? Skoro zderzam się ze stadem Polaków, mam prawo czuć się Polką i, co więcej, doświadczać całej gamy wzniosłych emocji, jakie znajdują się w pakiecie wraz z polskością. I nie jest to problemem. Kłopot pojawia się wtedy, gdy padam przed ową Polską na kolana, bo wtedy mój własny naród, moja ostoja, mój dom, zaczyna mnie pożerać. Kiedy bezkrytycznie zanurzam się w swej przynależności do narodu, brutalnie zawężam horyzont i poniżam się mocniej, niż bym tego kiedykolwiek potrzebowała" [s. 163-164]. „A co by było gdyby [...] spojrzeć na polską Formę z dystansu i... dojrzeć" – zadaje Gombrowicz pytanie. Wręcz przeciwnie: zachłysnąć się własną słabością i niedojrzałością. Wtedy nad Polakiem górować zacznie Człowiek" (s. 163), twierdzi w swoim odczytaniu Gombrowiczowskiego *Dziennika* autorka. Tak, jak „wykluczone" jest bycie jednostki poza drugą, tak też Polak nie może być „sam w sobie"; i „dla siebie". W dialektyce Gombrowicza, człowiek to Polak, a Polak to człowiek; CZŁOWIEK; AUTENTYCZNY. A zatem POLSKO: nie ma się co dopatrywać mistycyzmu w brutalnej polityce - bez nerwowych ruchów!

Powróćmy do tytułowego sporu; natura czy kultura, wychowanie. „Mój ostateczny werdykt brzmi następująco, deklaruje autorka. Mamy do czynienia ze zmutowanym *zoon politikon*" (s. 200). Bez drugiego jesteśmy **żadni**, a chcąc być kimś, **oderwać się** też nie można. A zatem: nie ma co liczyć na to, że Arystotelesowska natura wszystko za nas załatwi. I nie ma co liczyć - bez reszty - na procedury demokratyczne, Hobbesowskie prawo. I także – schodząc na konkretny teren - nie ma co liczyć na „polskość", rozumianą tak, jak ona się objawia w zdroworozsądkowym oglądzie. To na co można liczyć? **Na nic**; bez gwarancji **sukcesu**. „Jeżeli [...] chodzi o podstawowy problem rozprawy - czytamy u autorki w konkluzjach tekstu - to [...] albo „kościół międzyludzki" jest dziełem natury, albo kultury rozumianej jako wychowanie. W toku badań szybko okazało się jednak, że te alternatywy są dla „myśli politycznej" Gombrowicza zdecydowanie za ciasne" (tamże). Tak, opresyjne państwo, szkoła („Słowacki wielkim poetą był" – skóra cierpnie...), rodzina (gdzie „kryją się największe demony"– s. 204), to za mało. I tu schodzimy na teren polityczności. „Forma działa już na poziomie relacji rozgrywającej [się] między dwiema zaledwie osobami i również na tym etapie wywołać może niemałe zamieszanie. - podkreśla autorka. [...] To, co dzieje się w określonych społecznościach, wspólnotach, państwach, czy wręcz na całych kontynentach jest jedynie zwielokrotnieniem tego, co rozgrywa się między dwojgiem ludzi. Już pomiędzy Analitykiem i Syntetykiem rodzi się dynamika, która nakazuje walczyć im o władzę, wzajemnie się poniżać i wywyższać, stosować przemoc i wymyślać coraz to nowe formy upokorzeń – po to tylko, by każdy mógł nasycić swoje ekspansywne ja. [...] Sama polityka, rozumiana już wąsko, jako przestrzeń walki o wpływy i sprawczość, to środowisko wręcz doskonałe do rozpasania Formy" (s. 195-196). Autorka pomyślała swoją pracę jako w zamierzeniu prace politologiczną. Jak pisze, „zanurzenie w uniwersum Gombrowicza wyprowadza nas na tereny trudno dostępne dla politologów. [U niego] Kartezjańskie *Cogito*, ulega poszatkowaniu, a jego poszczególne elementy zostają przez pisarza poddane selekcji. [...] podobną tylko z pozoru formę. „Myślę, więc jestem", przekształca się [...] w dwa warianty: „myślę, więc jesteś" i „myślisz, więc jestem". [...] Tak w telegraficznym skrócie przedstawia się „myśl polityczna" literata" (s. 203). **To, co z Huliganem?** Jeżeli dobrze rozumiem przywołanego w tekście *Szczura*... **nic**. I to jest jedna strona medalu. „Drugim aspektem rozświetlającym dzieła pisarza jest – jak czytamy na ostatniej stronie pracy – **śmiech**. [...] Śmiech załamuje bowiem Formę, a wyśmianie tego co słabe i do tej pory skrywane działa wyzwalająco" (s. 204). A to by oznaczało także: **nic**. Oto KRAWĘDŹ, na jakiej znalazł się – poszukując odpowiedzi na pytanie o relację: *nature vs nurture* – człowiek. Jest tylko huligańskie: „ho, hoo! Hooo! Hetta! Wio!" I „Maryś"; i... „złodziejskie ściszenie".

Tu jednak autorka ma problem. Ekspozycja politologii w refleksji na dziełem Gombrowicza rodzi pokusę, żeby jego myśl odnieść do realiów życia; w tym także, a może przede wszystkim (co jest dyżurnym tematem w całej Gombrowiczologii od zawsze) polskiego życia publicznego. Wysiłek kuszący, ale – śmiem twierdzić – pozostający poniżej przyjętego w punkcie wyjścia poziomu. I autorka w końcowych partiach pracy wchodzi na ten teren (s. 196 -197), jednak zwycięsko tam nie grzęźnie. I nie grzęźnie także w zbyt drobiazgowym, jednocześnie zrobionym rzetelnie i ciekawie, przedstawianiu dramatów Gombrowicza. Autor recenzji – z braku literaturoznawczych kompetencji – nie jest w stanie w tej kwestii odpowiedzialnie się wypowiedzieć. Może tu jedynie podziwiać geniusz Gombrowicza i błyskotliwość autorki. A to wszystko da się sprowadzić do słów z *Dziennika* Gombrowicza, jakie zawiera motto do jednego z podrozdziałów dysertacji: „Namawiam sztukę do kopnięcia – łup! – nie po to aby profesor poczuł się kopnięty, po to jedynie, aby artysta poczuł się kopiącym" (s. 161). W Gombrowiczowskiej dialektyce „synteza" i „analiza" nie rozmijają się. I to należy **wiedzieć**; i **widzieć**; i trzeba to wytrzymać. Dość gadania... I to już będzie duży sukces...

Jest to praca **znakomita**. Na uwagę zasługuje przede wszystkim podjęcie się przez autorką tematu o niezwykłej skali trudności. Składa się na nią przede wszystkim wręcz niemożliwa do objęcia także dla dzisiejszego czytelnika (mimo, że na temat twórczości, jak przypomina to autorka, „wieśniaka z sandomierskiego" powstał ogrom prac) przenikliwość Gombrowicza; jego inteligencja, inteligencja wprawiająca, jak się rzekło, w **osłupienie**. I autorka dotrzymuje mu kroku... Inną trudnością jest to, iż jak się wejdzie na takie poziomy, to trzeba to jakoś „opakować" – chciałoby się po Gombrowiczowsku powiedzieć – w „formę". Trzeba to przedstawić w terminologii, na którą myśl społeczna nie jest jeszcze przygotowana. I te trudności pogłębia jeszcze interdyscyplinarność, jak się to tradycyjnie (i dziwacznie) ujmuje, tej materii. Praca buduje na bardzo bogatej i bardzo dobrze przywołanej literaturze przedmiotu. Na uwagę zasługuje także jej język. Jest to styl przejrzysty, precyzyjny; jednocześnie bardzo wciągający; w **otchłań**. Mamy przed sobą pracę **wybitnie zdolnej doktorantki; i wybitną pracę.** Jak wolno sądzić, wyrasta nowe, utalentowane i pracowite pokolenie intelektualistów.

Biorąc pod uwagę to, iż strona merytoryczna dysertacji, ogrom włożonego w nią wysiłku, jak i zaangażowane intelektualne – a można nawet powiedzieć, emocjonalne – autorki, dbałości o styl i redakcję, stwierdzam, iż recenzowana praca bez najmniejszych zastrzeżeń odpowiada wymogom stawianym dysertacjom doktorskim i wnioskuję o dopuszczenie magister Dagmary Anny Śniowskiej do dalszych etapów przewodu doktorskiego.

Lojwd Vcente